

ŁUKASZ CZESZUMSKI

KREW WOJOWNIKÓW

TOM III

## KONDOTIER

*Condottiere (wł.) – przywódca grupy najemników zaangażowanych w liczne wojny pomiędzy włoskimi państwami od XIV do XVI wieku. Nazwa pochodzi od słowa „condotta”, czyli „kontrakt”, który określał warunki pełnienia służby dla miasta lub władcy.*

*Kondotierzy byli znani ze swoich agresywnych i nieposłusznych zachowań. Ich jedynym celem było zdobywanie osobistych korzyści, stąd często zmieniali strony.*

– *Encyklopedia Britannica*

Gdybyś był niczym Faust, który dzięki paktowi z diabłem posiadał zdolność poruszania się po przestworzach i widzenia na setki mil, i gdybyś stanął na jednym ze szczytów Alp i spojrzął w stronę Italii, tego grobowca dawnego imperium, obecnie podzielonego na liczne i zaciekle konkurujące królestwa, księstwa i republiki, i gdybyś postanowił tam pofrunąć, aby je wszystkie zobaczyć, musiałbyś najpierw pokonać Lombardię. Wielkie księstwo pełne zielonych pól i winnic, szerokich gościńców, po których wędrują bezustannie kupieckie karawany wyładowane wszelkim dobrem.

Lombardia to najbogatsza z krain Italii. Jest jak wielki spichlerz pełen ciągle rodzących się obfitości. To kraina, która z wszystkich włoskich państweczek wydaje się najbardziej nagrodzona przez Boga. Tu bowiem krzyżują się szlaki handlowe między Europą a Orientem, tu mistrzowie wszelkiego rzemiosła tworzą najdoskonalsze przedmioty codziennego użytku. Tu pracowici gospodarze mają wielkie stada tłustego bydła. Mają pola z uprawami, którym nie brak ani deszczu, ani słońca i które obradzają obficie każdego roku. I gdybyś to zobaczył, być może przyszłaby ci do głowy myśl, że w istocie kraina ta jest nie tylko bramą do Italii, ale też kluczem do władzy nad światem.

Ujrzałbyś stolicę tego księstwa, wspaniałą Mediolan. To największe i najbogatsze miasto Italii, otoczone wysokimi murami i setkami strzelistych wież. To dom dla najzdolniejszych rzemieślników i siedziba bogatych kupieckich rodzin. Ci ludzie to klasa sama w sobie. Mieszczanie z dziada pradziada, którzy ewoluowali do swej pozycji z rzemieślniczych mistrzów. Nie wędrują po dalekich krainach świata jak Wenecjanie czy Genuńczycy, oni wolą prowadzić swoje interesy na miejscu. Tutaj produkować, a potem sprzedawać cudzoziemcom, których stać na produkty najwyższej jakości.

Mediolańskie klany nie lubują się w walce o władzę. Wolą mieć nad sobą opiekę silnego i sprawiedliwego księcia, który zapewni im bezpieczeństwo i możliwość rozwoju w zamian za słuszne daniny. Od

wielu dekad takiego księcia jednak nie mają. Za to raz po raz po Lombardii przetaczają się cudzoziemskie armie. Zakuci w stal rycerze i bandy pikinierów nadchodzą a to z Francji i Szwajcarii, a to z cesarstwa niemieckiego i Hiszpanii. Od dekad gromady wojsk wyrzynają się na lombardzkich ziemiach. Najemnicy wygnali księcia z rodu Sforzów, a potem zabrali się za rozgrabianie wsi i miast, zaczęli trybutować kupców daninami ponad siły, gnębić i niewolić chłopów. Mieszkańcy nic nie mogli na to wszystko poradzić, bo już dawno, rozwijając się w kierunku rzemiosła i handlu, zatracili zdolność do obrony samych siebie. Już pierwszy Sforza utrzymywał wyłącznie armię najemną rekrutującą się z cudzoziemców, a kolejni książęta utrzymywali ten trend.

Ale Księstwo Mediolanu pozostaje silne niczym skała, bowiem wciąż jest i bogate, i ważne. Można znosić cudzoziemską niewolę i wysokie podatki, byle nie sięgać ręką po broń – bo to droga tylko dla tych, którzy mało cenią swoje życie, a ono jest przecież najważniejsze. Wielka polityka od dawna jest dla Lombardczyków rzeczą, którą zbywali, jak przystało na ludzi praktycznych, wzruszeniem ramion. Wzruszali nimi, gdy władał Sforza. Wzruszali, gdy władali Niemcy. Wzruszali, kiedy podbili ich Francuzi. Gdy po latach francuskiej niewoli nadeszli Hiszpanie, którzy wraz z niemieckimi landsknechtami z kretelem pobili francuską armię na polu pod Bicocą. A potem gdy zwycięzcy usadzili u władzy jednego z ostatnich żyjących potomków dynastii Sforzów i najpierw się ucieszono, a potem znowu zajęto swoimi sprawami. Nowy władca był tak niepozorny, tak przezroczysty, tak pozbawiony jakichkolwiek konkretnych cech, że od razu obwołano go „kukiełką”. Mediolańczycy traktowali go tak, jak traktuje się chmury przelatujące nad głową albo rzekę płynącą w dolinie. Jest, bo jest.

Kto zobaczył zamek Sforzów, ten określał go nie mniej jak „cudem”. Pobudowany na kilku wyspach połączonych zwodzonymi mostami, a każda budowla tworzyła osobną fortecę. Co prawda największa z fortec sprawiała nieco kiepskie wrażenie, bo brakowało

połowy jej wysokości. Kilka lat temu szwajcarscy najemnicy podczas pijackiej biesiady podpalili prochownię i spowodowali wybuch, w którym sami zginęli. Zgruchotana forteca obłożona była teraz rusztowaniami, trwała odbudowa.

Dostępu do zamku strzegły sześćdziesiąt dwa zwodzone mosty i prawie tysiąc osiemset wojennych machin. I to nie koniec wspaniałości tej budowli. Od zewnątrz zamek Sforzów był arcydziełem sztuki militarnej, a od wewnątrz – dworskiej. Przestronne komnaty z wielkimi oknami wpuszczającymi jasne światło, szerokie korytarze pokryte wzorzystymi dywanami. Ściany i sufity pokrywały wspaniałe freski. Jedne z nich przedstawiały widoki gęstej puszczy, inne sceny biblijne i rodzajowe.

Tej nocy na zamku Sforzów trwała doniosła uczta. Na sali balowej grajkowie grali piękną melodię, której wtórował chór madrygału, damy kręciły sukniami, kawalerowie uśmiechali się z łaskawością, słudzy sypali płatkami kwiatów.

W komnacie zebrali się przy długim stole najważniejsi goście na balu. Księżę Francesco Sforza siedział u szczytu stołu. Niemieccy kapitanowie polewali mu wina, hiszpańscy hidalgowie zabawiali rozmową, dworacy rzucali anegdotami. Śmiech niósł się echem korytarzami zamku.

Francesco wychylił puchar, westchnął, a potem zapadł w dziwną melancholię, spoglądając w dal. Niemcy i Hiszpanie zajęli się swoim towarzystwem.

Siedzący z boku księżę Damiano Dimarco uważnie spojrział na Sforzę. Francesco dla niewprawnego oka sprawiał wrażenie rozbawionego, pogrążonego w pijackiej euforii. Księżę jednak zobaczył w tym momencie jego prawdziwe uczucia. Uśmiech, który był wymuszony i sztuczny. Rysy wyostrzone przez ostatnie miesiące skrywanej rozpacz. I oczy bez śladu wesołości. I zobaczył księżę, na co Francesco tak się zapatrzył. Na umieszczony na ścianie herb rodziny Sforzów. Dumne orły i węże pożerające ludzi, dziedzictwo upadłych

Viscontich. Być może Sforza zobaczył patrzące na niego z zaświatów oczy jego wielkich przodków, którym tak bardzo chciałby dorównać?

Oczy walecznego Muzio, który jako szesnastoletni syn wieśniaka przystąpił do zgrai najemników, po latach stał się ich liderem, a potem zdobywcą Mediolanu i założycielem książęcej dynastii.

Oczy pierwszego Francesca, który prowadził legiony do boju tak skutecznie, że papież uczynił go dowódcą swojej armii.

Oczy gniewnego, ale jakże skutecznego Galeazza, który był twórcą potęgi Mediolanu, a o którego wyczynach z kobietami krążyły legendy po całej Italii.

Oczy nieznającej strachu Cateriny, która walczyła dzielnie przeciw potężnemu synowi papieża Cezarowi Borgii, a potem, pozornie pokonana, oddała mu swoje ciało i udawała miłość, by odzyskać księstwo.

Oczy bezlitosnego i zepsutego Ludwika, który choć skończył marnie, to wielu dokonał w swoim życiu intryg, skrytobójstw i miłosnych podbojów. Którego wysmakowanie w dziełach sztuki zamieniło zamek i wnętrza mediolańskich kościołów w istne galerie cudownych fresków. I który przez swą chciwość rozpętał cudzoziemskie wojny w Italii, na własną zresztą zgubę.

Dimarco patrzył dyskretnie na księcia Mediolanu i czytał z jego oczu jak z otwartej księgi. I dumał. Nie dziwił się ani tęsknocie za potęgą, ani żądzy władzy, bo były to w jego świecie przymioty zwyczajne i powszechne. Zastanawiał się nad tym, co trzy noce wcześniej widział w dziwnej wizji, którą przywołał mu jego mistrz. Dimarco, choć tak biegły w sztuce wtajemniczonych, nie umiał połączyć tych widoków z obecnymi wydarzeniami.

Trzy dni wcześniej Damiano wsiadł na konia i wyruszył samotnie w drogę do niewielkiego miasteczka oddalonego kilka lig od Mediolanu. Ubrany w prosty ciemny płaszcz i mieszczański kapelusz nie przykuł po drodze niczyjej uwagi. W godzinie zmierzchu przejechał przez piaszczyste drożynki miasteczka, mijając porośnięte dzikim krzewem chałupy. Przejechał przez pusty plac przed katedrą, a potem,

za ostatnimi zabudowaniami, wjechał ścieżką w las. Zsiadł z konia i poprowadził go za uzdę przez mroczne knieje aż do opuszczonej ruiny. Tam uwiązał konia do gałęzi. Rozejrzył się bacznie, przez chwilę nasłuchiwał.

Starzec siedział nieruchomo, oparty o filar starożytnej świątyni. W ciemności widać było tylko zarys jego postaci okutanej w oponę. Gdyby nie to, że się odezwał, księżę by go nie zauważył, tak bardzo zlewał się z otoczeniem.

– Księżę Dimarco... – rozległ się w ciszy głos Mistrza.

Damiano klęknął, pocałował brzeg jego szaty i usiadł przed nim.

– Mistrzu – szeptał Dimarco – dzięki ci za to wezwanie. Tak wiele osiągnąłem w tym czasie, tak wiele celów spełniłem, a tak wiele jeszcze mi zostało...

– Nie możesz spoczywać na laurach. Czekają cię trudne chwile. Najcięższe wyzwania w twoim życiu, choć nic tego na razie nie zapowiada – rzekł starzec.

– Mistrzu, cóż może pójść nie tak? Udało mi się przeciągnąć Wenecjan na naszą stronę, udało mi się umocnić władzę w Neapolu i w Mondragone, udało mi się pozyskać łaski cesarza. Francuzi są rozbijani przez nasze oddziały. Imperium rośnie w siłę.

– Powściągnij zapal i ambicję, bo one cię zaślepią. Zważaj nie tylko na wroga zewnętrznego, ale przede wszystkim na żmije w twoim otoczeniu.

– Mistrzu, czy mówisz o zdrajcach? Domyślam się...

Starzec przez długą chwilę milczał. W końcu rozległ się jego głos.

– Nie wolno lekceważyć słabości ludzkiej natury. Gdy zjednoczeni wspólną sprawą ludzie uzyskują zwycięstwo, ich braterstwo znika i zaczynają pożerać się nawzajem. Każdy z nich chce wtedy jak najwięcej dla siebie i poniżenia innych. Zazdrość staje się ich opętaniem. Wystrzegaj się tego momentu.

– Kto, Mistrzu? Czy znasz ich imiona?

– Sam je łatwo poznasz, jeśli będziesz uważnie przypatrywał się samym tylko czynom. Ludzie są jak cienie, którym władza daje twarze

i rodowody. Strzeż się zdradzieckich i kłamliwych. Trzymaj ich blisko siebie, odgrywaj słabszego, niż jesteś. I pamiętaj, że musisz ich sobie podporządkować, a nie usuwać ich z drogi.

– Tak jak mnie uczyłeś, Mistrzu. Podporządkować wspólną tajemnicą, wspólnym wrogiem, strachem, zaspokojeniem chciwości...

– Pamiętaj, ludzie zawsze poruszają się w swoich płaszczyznach życia. Nie koncentruj się tylko na płaszczyźnie ludzi władzy. Działaj na innych płaszczyznach, jak to zawsze czyniłeś ku swojej chwale.

– Dbam o to, by mieć swoich popleczników pośród kondotierów, kupców, artystów, bandytów, ładacznic. Każda z płaszczyzn życia ma znaczenie dla całości. Nie zapominam o tym... Ale wciąż jestem tylko kalabryjskim księciem. Nie mam tytułów w innych krainach Italii. Czy powinienem ich pożądać, a jeśli tak, to jak je zdobyć?

– Nie pożądam pozycji, bo im jest ona wyższa, tym więcej wrogów będzie chciało cię z niej strącić. Najlepiej jest działać w cieniu, pociągać za sznurki marionetek. Wspomagaj zuchwałych, inspiruj ich działaniami, a potem wyjmuj z tego korzyść.

– Mistrzu, zuchwałych nie znajdę na dworze. Zamek w Mediolanie to wielkie gniazdo żmij. Tam wszyscy tylko spiskują i wywyższają się.

– Więc usuń się z dworu. Skryj się w cieniu, aby mieć stamtąd ogłęd całej sytuacji.

– Tak zrobię. Nasycę dwór moimi szpiegami, a sam zajmę jakąś posiadłość...

– Twój wróg bardzo intensywnie teraz spiskuje. Po tym, czego dokonałeś w Wenecji, rzeka przeznaczenia została zawrócona. On poczuł to jako najboleśniejszy cios i teraz robi wszystko, aby odwrócić na powrót bieg rzeki. Jest tak biegły w swojej sztuce, że może mu się to udać.

– Człowiek spod herbu węża... Wiem. Ale związałem mu ręce swoimi działaniami. Pousuwałem jego stronników w Rzymie, odsunąłem go od Wenecjan, zastraszyłem jego syna, winę zrzuciłem na kardynała...

– Jego ręce właśnie rozplątują się z więzów. Uczyłem cię przecież: każde zwycięstwo trzeba doprowadzić do końca. Nie zapominać o wrogach, bo oni zaczną wtedy wzrastać.

– Więc uderzę w jego serce! Tak zrobię.

– Pamiętasz, gdy uczyłem cię o teorii komnaty z tysiącem luster? Wszystko na tym świecie jest ze sobą nawzajem powiązane. Wszystko, co widzimy, jest odbiciem czegoś, co odbywa się gdzieś dalej.

– Rozumiem. Mediolan, Królestwo Francji, imperium tureckie... Najpierw usunąć cierń ze stopy, aby móc wędrować dalej...

– Nie mamy wiele czasu – napomniał nagle Mistrz. – Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość. Gwiazdy zmieniają swoje położenie, są kapryśne i gniewne. Wizje. Wejrzyj w siebie, zamknij oczy.

Książę zamknął oczy. Ukazała mu się twarz pięknej kobiety. Znał ją tylko przelotnie, ostatni raz widział kilka lat wcześniej. Teraz jednak właśnie ona mu się ukazała jako pierwsza. Miała dumny i zawzięty wyraz twarzy. Zafalowała i znikła. Pojawiła się wspaniała, zdobiona złotem papieska mitra. Leżała złachmaniona na brudnej ziemi i była pobrudzona krwią. Wtedy zobaczył błyskające miecze, piki wrażane w ciała ludzkie, usłyszał krzyki i lamenty. A potem zobaczył płonący Rzym i Tyber, którego wodami spływała krew i posiekane mieczami trupy. Aż wizje zniknęły i wróciła ciemność. Gwieździste niebo, potrzaskane kształty rzymskich kolumn, głos cykad w gęstym lesie.

– To przyszłość?! – wyrzucił zszokowany książę. – To wszystko przyszłość! – Kręcił głową w niedowierzaniu. – To chaos. Nic z tego nie rozumiem. Twarz tej dziewczyny z Reggio, czapka papieża, wojna... Nie ma żadnego związku!

– To, co pozornie wydaje się chaosem, dla rozumiejących kulisy układa się w zwykłą linię życia.

– Ile mam czasu?

– Czas spokoju nigdy nie jest czasem spokoju. Jest tylko jak... cisza przed burzą.



## ROZDZIAŁ I

### GÓRY

#### *Czerwiec roku 1523*

Jak okiem sięgnąć tylko kolosy gór, a nad nimi czarne chmury siekące zimnym deszczem. Pustkowie, wszędzie pustkowie. Żaden naród nie był wystarczająco twardy, aby nauczyć się przetrwać w takim miejscu.

Wąska i zaniedbana ścieżka wiodła zboczami tuż nad krawędzią przepaści. Szlakiem tym jechało pięciu jeźdźców. Czterech mężczyzn, którym przewodziła kobieta. Wszyscy byli przemoczeni deszczem, zziębnięci do szpiku kości. Ich konie ledwie trzymały się na nogach. Twarze mężczyzn pokryte były brudem, wykrzywione w cierpieniu. Przeklinali, a czasem jęczeli niczym skomlące psy. Przeklinali te góry z ich stromymi szlakami, przeklinali deszcz, który od wielu dni ich moczył, przeklinali głód, zimno i poniewierkę. Czasem się odzywali, głosami zachrypniętymi i pełnymi bóleści. Błagalnymi, to znów niebezpiecznie gniewnymi:

– Szeźniemy tu z głodu i zimna. Pani, słyszysz? Pani, nigdy go nie odnajdziemy. To, co robimy, to szaleństwo. Pani, miej łaskę. Skończyło się nam jedzenie, nie mamy furazu dla koni. Wkrótce opadniemy z sił i już nie będziemy mogli zawrócić. Albo zabłądzimy i zostaniemy tu na zawsze. My nie chcemy umierać, o pani. Nie chcemy umierać, słyszysz nas?! Nie chcemy!

Kobieta jechała na przedzie. Puszcziała ich rozpaczliwe słowa mimo uszu i milczała. Tak jak oni trzęsła się z zimna, a zmoczone deszczem włosy spływały strąkami na jej twarz. Usta zacisnęła, aby nie szczekać zębami. Oczy, zmęczone i smutne, uparcie wpatrywały się w szlak, w tę nędzną ścieżkę biegnącą brzegiem kanionu. W myślach wypowiadała jego imię. Raz za razem, bez przerwy. W jakiś przedziwny sposób dodawało jej to otuchy jeszcze bardziej niż modlitwa, którą szeptała nocami.

Na skórze szyi czuła ciężar i ciepło bijące od niewielkiego złotego medalionu. Pamiętała jak dziś ten dzień, dziesięć lat wcześniej, gdy go jej podarował. Przywiózł go z pewnej podejrzonej wyprawy kupieckiej, na której nadspodziewanie się wzbogacił. Po powrocie pokazał jej sakwę pełną srebrnych monet i ten złoty medalion, który po otwarciu ukazywał portrety jego i jej.

– Zamówiłem go u najlepszego złotnika Neapolu. To my. Na zawsze, Giovanni – rzekł i założył go jej na szyję. Przyjęła go z uśmiechem i radością w sercu.

I pamiętała jego kolejną wyprawę, ten ostatni wieczór. Wieczór pożegnania. Gdy decyzja już zapadła, a on o świcie miał wyruszyć w daleką drogę. Giovanna była pełna obaw, dusiła w sobie złość. On przeciwnie. Był pełen nadziei, podniecony, energiczny. Pojechali konno na skalne klify wznoszące się nad Reggio. Siedzieli na łące, patrząc, jak słońce zachodzi za morze, a potem jak gwiazdy zapalają się na niebie.

– To wielka szansa – powtarzał ciągle. – Będziemy w końcu zamożni. Będziemy mieli ziemię i karawany. Będziemy mieszkać we wspaniałym domu. Będziemy mieli wszystko, co najlepsze. To, na co zasłużyliśmy. Będą nas szanować i kłaniać się w pas. Osiągniemy to. Osiągniemy, bo takie jest nasze przeznaczenie.

Nie chciała go słuchać. Jego słowa były dla niej puste. Nie słyszała w nich ognia, tylko rozpacz. Miała złe przeczucie, które zaczerniało wszelkie wspaniałe wizje, jakie jej mąż kreślił pod gwiazdzistym niebem. Nie potrafiła jednak protestować. Wiedziała, że nie zmieni jego decyzji. Był głuchy na jej ostrzeżenia. Zawsze ją szanował i wiedziała, że ją kocha nie mniej niż ona jego. Teraz jednak otrzymał propozycję, której nie zamierzał odrzucać. Propozycję, która miała okazać się szansą na lepsze życie.

– Musisz do mnie wrócić – powiedziała, zapatrzona w jego oczy.  
– Każdego dnia będę modliła się o to, abyś wrócił.

– Wrócę i osiągniemy wszystko, o czym przyszło nam marzyć – zapewniał, patrząc w gwiazdy i zionąc z ust zapachem wina. – I spełni

się to najważniejsze. Wtedy na pewno – dodał po chwili, czym pokazał, jak bardzo zaślepiony jest wizją chwalebnej przyszłości. Byli bezdzietni, lecz dla niego i to miało się zmienić, gdy tylko się uda. Zabawne, „gdy się uda”, a nie „jeśli się uda”.

– Nasze życie jest skromne, ale dobre. Można je polepszyć bez ryzykowania – odpowiedziała. – Pamiętasz, Eduardzie, że wszyscy, których kochałam, już dawno umarli? Został mi tylko mój ojciec i ty.

– Nigdy nie znałem cię jako kobiety tchórzliwej, Giovanni. Tyle razy wyruszałem z karawanami z wełną do Neapolu. Przecież kilkakrotnie sama mi towarzyszyłaś. Nie okazałaś strachu nawet wtedy, gdy zbójcy napadli nas za Reggio. Ani wtedy, gdy stado bawołów stratowało nasze muły.

– Teraz nie jedziesz do Neapolu, a do dalekich krain, których nie znasz. Miałam zły sen, w którym...

– Do diabła ze złymi snami! Skoro nie znam tych ziem, to muszę tam ruszyć, aby przekonać się, ile są warte. Pamiętaj, jak wielką przysługę wykonam tym dla naszego księcia. Wyruszam o świcie i nawet nie myśl o tym, że miałabyś ronić łzy lub czynić mi wyrzuty, gdy ludzie księcia będą patrzeć!

O świcie wyjechał, zaledwie trzema towarzyszami. A potem były długie miesiące oczekiwania. Nie marnowała ich beczynnie. Nie leżało to w jej naturze ani nie mogłaby sobie na to pozwolić. Musiała pomagać ojcu w warsztacie sukienniczym, zapisywać rachunki. Posyłać po mulników, aby przewieźli sukno do portu, i opłacać kapitanów, aby zawozili je na Sycylię i do Neapolu. Od kiedy jej bracia wyruszyli na wojnę i na niej zginęli, tylko ona mogła pomagać ojcu w interesach, mimo że zajęcia te typowe były dla mężczyzn i źle ją z tego powodu postrzegano.

Co kilka dni, gdy miała wolną chwilę, jechała do pani Dimarco do zamku książęcego, którego kamienne mury wznosiły się nad najwyższym z klifów Reggio. Na bramie zawsze kazano jej czekać i niemal zawsze musiała tam znosić pożądlive spojrzenia hiszpańskich żołdaków. Na więcej niż głodne spojrzenia nie uważali się od czasu,

kiedy widząc wulgarny gest, jaki jeden z nich zaprezentował drugiemu, zadała mu kuksańca i nazwała osłem pozbawionym jąder. Zaczęli ją traktować z pozornym szacunkiem, obrażać już tylko spojrzeniami. Potem przybiegał służący, mówiąc, że pani nakazuje ją wprowadzić. Siadały w komnacie, służba wносиła przekąski, a one mogły w spokoju porozmawiać i pożartować.

Giovanna, gdy tylko wyszła z klasztoru, gdzie spędziła trzy lata na modlitwie i nauce, co było obowiązującym zwyczajem dotyczącym każdej dziewczyny z dobrego domu, wyszła za mąż za Eduarda. Ten zapewnił jej służbę u pani na zamku. Caterina Dimarco była tylko kilka lat starsza od niej. Była Hiszpanką wysokiego rodu. Kobieta inteligentną, odczytaną i nie miała nic z zadęcia charakteryzującego tych, których jedynym walorem w życiu jest urodzenie się w bogatej rodzinie. U boku Cateriny Giovanna nauczyła się dworskich manier, rachowania i tego, jak funkcjonują sprawy wielkiego świata. Obie dzieliły radości i smutki, łączyła je tęsknota za wiecznie wędrującymi po świecie mężami. Giovannę, choć pochodziła z niezamożnej rodziny kupieckiej, pani Caterina traktowała jak równą sobie. Obie były samotne w tym porcie na krańcu świata, na wybrzeżu nękanym przez mauretańskich korsarzy i kalabryjskich zbójców, na zamku, który zaludniali ponurzy i zadzierający nosa hiszpańscy hidalgowie, ich żołnierze, będący najemnikami z wszystkich stron świata, kalabryjscy baronowie, przymilający się do Hiszpanów, a po cichu robiący im na przekór, wreszcie dworskie damy, snujące bezustanne intrygi mające wywindować kariery ich mężów. Nie mówiąc już o plebsie z Reggio, narodzie rybaków i pasterzy, ludziach prostych, zawistnych, a przede wszystkim nędznych. Tu, w Reggio, kobiety miały rodzić dzieci i nie wychodzić z domu, jak kazał odwieczny obyczaj. Giovanny nie obchodziły dziwaczne obyczaje ani karcenie ze strony innych ludzi. Jej bracia zginęli, więc kto jak nie ona miał pomagać staremu ojcu i Eduardowi?

Za każdą wizytą u księżnej Giovanna pytała, czy nadeszły listy od jej męża. I nadchodziły.

Po dwóch tygodniach – z zamku w Neapolu. Eduardo pisał o trudnej wędrówce przez góry. O koniu, który utopił się podczas przeprawy przez wezbraną rzekę. Wychwalał wicekróla de Lannoya, który przyjął ich na zamku niczym braci, ugościł i opłacił ich pobyt.

Potem, po miesiącu, nadszedł list z Rzymu. Krótki i zdawkowy. A potem, w dwa miesiące od wyruszenia, ostatni list. Z Mediolanu. Eduardo cieszył się, że księstwo trafiło do hiszpańskiej macierzy, że wszystko jest tu kontrolowane przez hiszpańskich rycerzy. „Mediolan jest wielki i wspaniały”, pisał. „Neapol przy nim to jak pasterskie obejście. Reggio to przy nim jak kurnik”.

*Spotkałem się z naszymi panami. Wszystko wygląda pomyślnie. Obiecali mi wielkie nagrody i liczne przywileje, jeśli mi się uda. Znalazłem i zatrudniłem zbrojnych, którzy będą nam towarzyszyć. Za dwa dni wyruszamy. To najtrudniejszy etap tej podróży, ale to właśnie w nim czeka nas chwała, moja ukochana Giovanni.*

A potem nie nadszedł już żaden list. Ani żadna wieść. Minęło pół roku. Przyszło niedowierzanie, rozpacz, przerażenie. Narastający ból, biorący się z niepewności i podejrzeń.

Pani Caterina słała listy do władców i dowódców wojsk. Odpisywali, że nie znają losów Eduarda. Wicekról Neapolu zapewnił, że rozesłał swoich ludzi do Mediolanu, aby szukali. Być może naprawdę szukali, ale i tak nie odkryli ani śladu.

Życie w Reggio stało się dla Giovanny udręką. Interesy jej ojca szły coraz gorzej. Kuzyni Eduarda rozkradali majątek. Kupcy z Sycylii i z Neapolu zamawiali coraz mniej tkanin, kupując taniej z innych źródeł. Piraci pustoszyli wybrzeża. Galery coraz rzadziej pływały do Neapolu, obawiając się napadów. Giovanna, pogrążona w tęsknocie i obawach o męża, zaczęła być wytykana palcami. W Kalabrii to mężczyzna jest gwarantem honoru kobiety. Wdowy są odsuwane na margines społeczności, podejrzewane o wszelkie możliwe grzechy. Paskudni żołnierze z bramy zamku coraz odważniej na nią patrzyli,

dworacy pozwalali sobie na poufałości. Co będzie, gdy ojciec umrze, gdy zostanie zupełnie sama, na pastwę wszelkich niegodziwców? Była zbyt dumna, aby pozwolić sobie na jakąkolwiek podległość. Znała mężczyzn, wiedziała, jacy są. Eduardo był jedynym, którego zaakceptowała w swoim życiu. A teraz gdzie on jest? Co się z nim stało?

I nastąpiła decyzja. A potem rozmowa z ojcem. Zbieranie resztek oszczędności. I szukanie kilku odważnych mężczyzn, w czym pomogła jej pani Caterina, która na początku gorąco odwodziła ją od pomysłu, lecz potem dała się przekonać i wiele pomogła.

Pojedzie odnaleźć Eduarda.

Tygodnie przekłetej podróży. Przez suche góry Avellino, przez wizytę na zamku wicekróla de Lannoya, który nie tylko nie udzielił jej gościny, ale rozkazał wracać natychmiast do Reggio i poniechać „szalonych pomysłów” i z którym rozstała się w złości i krzykach. Długa, męcząca podróż przez całą Italię. W drodze omijali główne gościńce, aby nie natknąć się na zbójckie bandy albo nie mniej groźne grupki płaczących się najemników, którzy rozpełźli się po całej chyba Italii i wszyscy głodni byli jak wilki pieniędzy, przelewu krwi i kobiecego ciała. Wiele niebezpieczeństw ominęło ich w tej drodze. Nic jednak nie mogło przygotować na przejście przez góry na północ od Mediolanu. Te same, w których najprawdopodobniej zaginął Eduardo.

Tutaj zaczęli błdzić, a mężczyźni z pocztu, choć najtwardsi i najwierniejsi, jakich miała do pomocy, zaczęli mięknąć i ulegać słabości. Głód, zimno i wyobcowanie wyzuło ich z siły woli. Zdawało się, jakby te przekłete góry rzuciły na nich jakiś zły urok. Teraz od samego ranka klęli i złościли się, a ich wierność wisiała na włosku.

– Giovanni, pani nasza! – jęknął nagle Adolfo, żyłasty czarnobrody mąż, gwardzista z zamku Dimarco. – Przecież nigdy w tych górach nie znajdziemy tego błazna!

W Giovanę jakby grom strzelił. Zawróciła konia, podjechała do Adolfa.

– Nie ośmielaj się nazywać tak mojego męża! – krzyknęła ze złością.

– A jak mam nazywać tego, który najpewniej postradał życie swoje, a teraz postrada także nasze i twoje, o pani? Wiernie ci służyliśmy, ale każdy człowiek ma granicę trudów, które może znieść!

– Musimy dać radę. Musimy – odrzekła Giovanna.

– Nie wytrzymamy dłużej. Przecież nie znamy szlaku, którym wyruszył! Zatracimy się, a nie znajdziemy go.

– Będziemy go szukać do skutku.

– Księżna Dimarco dała wam list polecający. Musimy zawrócić do Mediolanu. Musimy poprosić o pomoc *tego* człowieka.

Giovanna zamyśliła się, po czym pokręciła zdecydowanie głową.

– Nigdy. Tego nie zrobimy. Tego nie wolno nam czynić.

– Pani. Ja wiem, co sądzisz o tym człowieku. Wiem, co o nim mówią. Ale pani Giovanni... bez jego pomocy i tak będziemy zgubieni.

– Do diabła, Adolfo! Wiesz doskonale, że to człowiek, z którym jeśli się zadamy, już nigdy nie wypuści nas ze swoich rąk. No? Co jeszcze chcesz powiedzieć, Adolfo? – prawie krzyknęła ze złością.

Adolfo potarł dłonią brodę i wskazał gestem na straszliwe góry ciągnące się w koło aż po horyzont. W jego oczach były łzy, lecz mówił szczerze.

– Że nie mamy wyjścia. Ja też się go obawiam, ale pani Giovanni, nie ma dla nas innego ratunku. Jeśli chcesz odnaleźć swojego męża, to tylko ten człowiek może nam w tym pomóc. Jeśli nie on, to kto?

Było słoneczne, ciepłe południe. Kolumna francuskiej armii kroczyła gościńcem do granic Italii. Przewodziła kawaleria. Powiewały nad rycerzami sztandary miast i zamków, furkotały szkarłatne chorągiewki umieszczone przy szpicach kopii. Dalej jechały szeregi lekkiej jazdy, liczne wozy taborowe, a potem nieprzeliczone szeregi piechotników. Długa była za nimi wędrówka – z najdalszych prowincji

Francji, potem przez Alpy, a teraz do celu ich drogi, Księstwa Mediolanu, które król Franciszek rozkazał im odbić z rąk Hiszpanów. Ciągnęły liczne zapasy dla wojsk w Mediolanie, ciągnęli nowi żołnierze mający wesprzeć stare załogi. Jak to młodzi żołnierze – na początku rozpierał ich zapał i energia, a potem tygodnie monotonnego marszu wycisnęły z nich wszystkie siły i ochotę. Patrzyli na słońce na niebie i liczyli czas do wieczornego odpoczynku. Długo jeszcze, bardzo długo. Sapali ciężko, sarkając na swój los.

Kolumna dotarła do brzegów lasu. Środkiem szedł gościniec, a po bokach rosły dęby i dzikie krzaki. Niektórzy może zwrócili uwagę na pewien dziwny szczegół. Na całkowitą ciszę, jaka w tym miejscu panowała. Nie hałasowały ptaki ani nawet owady. Ale zmęczone wojsko nie zastanawiało się nad tym.

Z gromowym hukiem rozległa się salwa. Stało się to tak niespodziewanie, że wielu pomyślało, że to burza. Dopiero gdy zobaczyli towarzyszy spadających z koni i usłyszeli krzyki rannych, zrozumieli, co się stało. Z lasu wybiegały tymczasem gromady hiszpańskich żołnierzy. Gwałtownie uderzyli na kolumnę z pikami i mieczami. Powstała scena zupełnego chaosu. Konie kwiczały i stawały dęba, zmęczeni piechurzy zrywali się do ucieczki, po czym dostawali ciosy w plecy. Atak z lasu był tak gwałtowny, jak szybko się skończył. Na odgłosy gwizdnięć napastnicy pobiegli do lasu i zniknęli w jego gęstwinie, zanim oficerowie zdążyli zorganizować kontratak.

Był środek nocy. Wojsko francuskie spało w obozie. Rycerze w potężnych namiotach z wszelkimi wygodami, zwykli jeźdźcy w mniejszych, piechotnicy pod zwykłymi derkami. Warunki nie były jednak nieprzyjemne. Od kiedy przejechali przez Alpy, niebo było pogodne, a noce ciepłe. Mogli w końcu zjeść wieczerzę, ułożyć się wygodnie i zasnąć, zapominając o spiekocie dnia, o katorżniczym marszu i o wrogu, który niehonorowo i zdradziecko ich dzisiaj napadł. Do wieczerzy wydano powiększoną rację wina w celu uspokojenia nerwów, a po jego wypiciu udano się na spoczynek.



Dwaj wartownicy strzegący wschodniego rogu obozu nie usłyszeli zakradających się napastników. Byli po kolei łapani i duszeni. Z ciemności lasu wyszedł gęsiego szereg mężczyzn uzbrojonych w rapiery, sztylety i skrócone piki. Na zbroje mieli nałożone białe koszule. Szli gęsiego, szybko i pewnie, kierując się do majaczących w oddaleniu namiotów rycerskich. Na swej drodze napotkali tylko jakiegoś ciurę, który gnębiony biegunką pędził do kępy krzaków i który – obrzuciwszy szereg przybyszów spojrzeniem – pobiegł w swoją stronę. Zbliżyli się do jednego z dużych namiotów. Będący na czele kapitan odgarnął jego poły i dał znak ludziom. Kilku wbiegło do namiotu. Paskudny chrzęst stali wbijającej się w ciało ludzkie, jęki. Jeden głośny wrzask zabijanego, który raptownie się urwał.

Pozostali Hiszpanie wpadali do namiotów obok, zadając pchnięcia rapierami i sztyletami. W niektórych namiotach dochodziło do zacieklej walki. W świetle lontów arkebuzów przeszukiwano skrzynie, odcinano trzosi, zabierano kosztowności.

Po kilku długich chwilach napastnicy wybiegli z obozu i dopadli do koni ukrytych w lesie.

W obozie panował całkowity chaos. Dowódcy krzykiem próbowali zaprowadzić spokój. Nikt dokładnie nie wiedział, co się właśnie wydarzyło, a biegający bezradnie żołnierze wpadali na leżące trupy swoich towarzyszy.

Jeden krzyk wznosił się najgłośniej ze wszystkich. Krzyk pełen rozpacz i gniewu należący do jednego z baronów, który stał z pochodnią nad martwym młodzieńcem i rozpaczał.

– Zabili mojego syna! Ach, zbrodniarze! Na wszystkie świętości, moja zemsta ich osiągnie!

Było upalne popołudnie. Kompania stała na środku porośniętej kolczastymi krzewami równiny. Zmęczeni, niewyspani, czekali w milczeniu. Czterdziestu konnych i siedemdziesięciu pieszych żołnierzy

neapolitańskiej tercji. Oblizywali spieczone z pragnienia usta. Bukłaki dawno były puste.

Kapitan stał wyprostowany w siodle rumaka i wbijał wzrok w horyzont. Tam, w miejscu, gdzie równinę przecinała rzeka, będą mogli wreszcie napić konie i siebie samych. Zatrzymał jednak spragnione wojsko i wysłał najpierw zwiadowców, aby sprawdzili, czy podejście do rzeki jest bezpieczne.

Od długich tygodni kapitan działał ze swoją kompanią po pograniczu, napadając francuskie oddziały, które szły na Mediolan. Kąsali wielkie kolumny wojskowe we dnie i w nocy. Zawsze z zaskoczenia, zawsze nowym, sprytnym sposobem. Kapitan był w swoim żywiole. Zasadzki, nocne ataki na tabory wroga, zwodzenie rycerskiej konnicy pozorowanymi szturmami... Tego wszystkiego uczył się jako młodzik wśród serbskich najemników polskiego króla, a teraz wprowadzał w tej sztuce swoich żołnierzy. Muszkiety i arkebuzy okazały się w tych działaniach nieocenione. Salwa arkebuzerów zza osłony skał, pozorowany atak konnicy, druga salwa w zdezorientowanego wroga. Odstąpienie, a kilka godzin później nowa zasadzka. Pozorowali ucieczkę konnicy, a gdy Francuzi ruszali w pogoń, wpadali prosto przed lufy ukrytych wśród zarośli arkebuzerów. Nocne napady na obozy wroga były specjalnością hiszpańską przejętą od Arabów i zwano je *camiseadami* – od białych koszul, które napastnicy zakładali, by rozpoznać się nawzajem w ciemnościach. Gdy udawało im się cicho usunąć wartowników, czynili w pogrążonych we śnie obozach piekielne zniszczenia, a potem rozptywali się w ciemnościach nocy. Jakąż radość dawały te napady na nieraz dziesięciokrotnie liczniejszych wrogów...

Tym razem jednak *camiseada* skończyła się inaczej niż zwykle. Francuzi jeszcze tej samej nocy porzucili swój obóz i tabory, wzięli pod broń wszystkich żołnierzy i wyruszyli w ślad za Hiszpanami. Kawaleria obsadziła wzgórza i gościńce. Pogoń po raz pierwszy była prowadzona w sposób metodyczny i wytrwały. Od świtu przez cały dzień gromady francuskich piechotników i kawalerzystów deptały im po piętach.

Pot kapał na oczy, rozgrzana stal hełmu parzyła głowę. Czuł na sobie niecierpliwe spojrzenia żołnierzy. Zdziwiła ich jego decyzja. Przecież rzeka była tak blisko! Ledwie kwarta ligi. Chwila marszu i mogliby zanurzyć usta w zimnej, rozkosznej wodzie, która dla umierającego z pragnienia jest pyszniejsza niż najlepsze wino.

Nagle coś błysnęło w oddali. Uniósł się w strzemionach, wyteżył wzrok.

– Kapitanie, widzę ruch na brzegu lasu za nami – odezwał się Carlo – widzę piki i hełmy! Są za nami...

Odwrócił się, spojrzął do tyłu. Istotnie, z lasu oddalonego od nich o nie więcej niż pół ligi wychodziły szeregi francuskiej piechoty.

– Tam, na lewo! – krzyknął jakiś żołnierz. – Zza tych krzaków widać ostrza pik! Stamtąd też na nas idą!

Ruszył powoli do przodu, w stronę rzeki. Wyraźnie widział galopującego naprzeciw zwiadowcę. Jednego! Gdzie pozostali dwaj? Zwiadowca pędził, prawą ręką kręcąc w powietrzu niezgrabne koła. Psiakrew! Ten gest był oznaką zasadzki. Byli otoczeni, a wróg zdążył już obsadzić rzekę. „Jesteśmy zgubieni” – uświadomił sobie.

Rozejrzał się rozpaczliwie, lecz w zasięgu wzroku była tylko równina. Żadnego wzgórek, żadnego miejsca nadającego się do obrony. Trudno, tutaj przyjdzie im walczyć i tutaj przyjdzie im zginąć.

– Arkebuzy nabite?! Wszyscy nabili arkebuzy? – krzyknął do strzelców, choć był pewny, że mieli je nabite i tylko czekali na rozkaz odpalenia lontów.

– Żołnierze *tercio*, gotujcie się do walki na śmierć i życie! W imię Santiago – recytował pompatyczne hasła, które nie miały i tak żadnego znaczenia. Spiął konia, objechał oddział dookoła. Oceniał postawę żołnierzy, obejrzał teren. I z prawej strony też widział już w oddali zbliżające się szeregi francuskiej piechoty, prowadzonej przez kilku konnych rycerzy.

Zwiadowca dopadł ich i zatrzymał konia. Zwierzę wyglądało, jakby miało zaraz wyzionąć ducha. Mężczyzna zeskoczył na ziemię.

– Zasadzka... nad rzeką... Czekali tam na nas... za krzewami... Strzelali z kusz... Tylko ja uszedłem... – wyjąkał, z trudem łapiąc oddech.

– Nabij muszkiet, dołącz do sił – warknął kapitan – i gotuj się do walki!

Patrzył po swoich ludziach, a w głowie brzmiały mu słowa Prospera Colonna: „Prowadzenie bitwy to jak gra w szachy. Pamiętaj, jakie masz figury, jakie są ich zalety i jakie ograniczenia. Znaj też figury swojego przeciwnika, a potem przemyśl ich zderzenie i wybierz właściwy sposób. I niech ani strach, ani emocja walki nie mącą chłodu twojej myśli ani trafności twojej decyzji”.

Kompania, którą prowadził, była zebrana specjalnie do ataków podjazdowych i mało przypominała typowe oddziały tercji. Dostał tylu ludzi, ilu przeznaczył mu markiz D’Avalos w Mediolanie i ilu była w stanie opłacić kiesa rodziny Dimarco. Przez te miesiące wyszkolił ich w skrytym podchodzeniu, w nocnych wypadach i w sztuce cichego mordowania wroga. Szczególną wagę przywiązał do arkebuzerów. W bitwie pod Bicocą poznał zatrważającą moc broni palnej, która to moc pokazuje swoją wartość tylko wtedy, gdy korzysta się z niej w sposób zorganizowany. Dowódcy tercji skąpo wydzielali fundusze na zakup kul i prochu. Za własne pieniądze kupował więc na targowiskach Mediolanu beczułki prochu i kazał ćwiczyć arkebuzerów przez wiele dni. Bezpieczne i szybkie ładowanie, strzelanie we dzień i w noc, z postawy stojącej i z grzbietu konia, we współdziałaniu z innymi oddziałami. Zamienił swoich arkebuzerów w prawdziwych mistrzów swojego fachu. A ci zaraz pokazali swoje umiejętności w praktyce, w niezliczonych zasadzkach i nocnych *camiseadach*. Arkebuzer, dotąd uważany za tępego i tchórzliwego strzelca, stał się teraz najbardziej cennym żołnierzem, któremu inni zazdrościli pozycji i umiejętności. Znał tych ludzi i znał ich możliwości. Znał nowicjuszy, którzy szaleli nadmiernym entuzjazmem, i znał tych, których dopiero pierwsze trudy i pierwsze potyczki nauczyły pokory. Tych, których w obliczu nadchodzącej walki ogarniała widoczna panika i przerażenie i których

umieszczał zaraz wśród doświadczonych żołnierzy. Teraz stali, ze skamieniałymi w ponurym wyrazie twarzami weteranów. Gotowa broń w ręku, czujne oczy rozglądające się za niebezpieczeństwem, postawa, biorąc pod uwagę sytuację, wręcz luźna i spokojna. Oczekująca na rozkazy. Bez pretensji, strachu ani paniki. Co chwilę spoglądali ku kapitanowi, jego milczącej postaci zakutej w stal, gdy objeżdżał szeregi. Jego twarz ściągnięta koncentracją, ponura. Spojrzenie zimne, wręcz nieludzkie. Gdzie on, tam oni. Gdzie śmierć zadawać, tam razem. Gdy ginąć, też razem. Bez krzyków i rozdierania szat. Taki los żołnierza. Życie raz odbierasz, raz sam tracisz. Panika w niczym nie pomoże. Słuchać rozkazu i robić swoje. Nawet jeśli nie przetrwasz, to z honorem, w walce, oddasz swoje życie.

A kapitan jechał, obserwował, i intensywnie myślał. Miał czterdziestu konnych i siedemdziesięciu pieszych. Konni nosili lance, a spośród pieszych połowa była arkebuzerami, a druga połowa pikinierami. Konni poruszali się szybko, mogli robić przełamujące szarże... ale nie w tej liczbie. W tej sytuacji nie nadawali się do niczego, a ich jedyną zaletą było szybkie poruszanie. Lecz trzeba było to docenić. Ich konie, choć zmęczone i spragnione, miały jeszcze wielkie rezerwy sił.

Arkebuzerzy byli pewni siebie. Naładowana broń dawała im to poczucie, że choćby największy wróg ich napadł, to zanim zginą, wielu zabiorą ze sobą do piekła.

Pikinierzy też nie okazywali strachu. W kwadracie sześciu na sześciu mężczyzn mogli skutecznie atakować i bronić się. Gdyby piki nie wystarczyły, każdy miał u boku ostry toledański rapier, a wielu też cięższe miecze.

Wróg zbliżał się nieubłaganie. Trochę ciężkiej kawalerii i długie szeregi piechoty. Kapitan nie widział żadnych armat, co zresztą zrozumiałe, bo ścigające ich po lasach oddziały nie utrzymałyby tempa, wlokąc działa ze sobą. Piechota dzieliła się na kuszników i pikinierów. Wszyscy odziani w długie kaftany i stalowe napierśniki, lecz piki pikinierów miały długość czterech–pięciu łokci, o dwa łokcie mniej niż

piki Hiszpanów. Zauważył jednak, że wojsko to zdradzało niepewność na bitewnym polu. Ich szeregi były nierówne, wciąż spoglądali na innych i na dowódców. Wiedział, że tacy żołnierze są odważni, gdy przychodzi do szturm, ale okazują się bandą beks, gdy wokół zaczynają padać ich koledzy. Oceniał, że najgroźniejsi byli kusznicy. Pewni swojej broni, z bełtami nałożonymi na łoża. Zbliżali się grupami, wymieniając między sobą uwagi dotyczące dystansu i kierunku wiatru. Co go ucieszyło, stanowili tylko kilka rozproszonych grup.

– Arkebuzerzy, podpalać lonty! – zarządził.

Wróg był dwieście kroków od nich.

Spojrzał na konie kawalerzystów.

– Kawalerzyści, zrzucić sakwy i lance. Będą tylko was dociążać.

Spełnili rozkaz. Odsuptywali albo po prostu przecinali rzemienie sakw, w których trzymali pożywienie, bukłaki, derki i rzeczy osobiste. W obliczu rychłej śmierci żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia.

**Fragment pochodzi ze strony [www.czeszumski.com](http://www.czeszumski.com)**

**Krew wojowników tom III: Kondotier. Wydawnictwo CL Media 2022. ISBN 9788396407719**